

Kazimiera Alberti

Sekrety Apulii **(fragment)**

Ryba na majolikowym półmisku

Człowieku z Północy! Jeśli śnisz o Południu, o błękitnym wybrzeżu, na którym chcesz odpocząć, mam nadzieję, że oczom Twojej wyobraźni ukaże się miasteczko znajdujące się pod obcasem włoskiego buta – Gallipoli! Już jego egzotyczna nazwa wskazuje, że jest to „piękne miasto”. „Kalli-polis” ochrzcili je jego ojcowie, Grecy.

Jest to wąskie nadbrzeże rozciągające się na długości 3 kilometrów, przypominające swoistą przedpotopową rybę, która, chcąc odpocząć, wynurzyła się z morskich głębin i urzeczona kolorami już do nich nie wróciła. Zesztywniała i teraz, całym swoim ciałem, chłonie zjawiskowe barwy morza. Jakiś późniejszy kataklizm odciął jej głowę i potwornie ją rozpląszczył. W jej rozwartej paszczy powstała plaża Czystości. Wąska struga wody przeniknęła między głowę a ciało. I oto mamy kształt Gallipoli – bardziej poetycki niż topograficzny!

Kiedy wiatr cichnie, morze, na którym spoczywa olbrzymia ryba o odciętej głowie, jawi się niczym półmisek z połyskującej majoliki sprószony wszelkimi odcieniami błękitu, od najjaśniejszego po ten najmroczniejszy. Palce wiatru i słońca pokryły go smugami zabarwionymi na mocny kobalt i delikatny chryzolit, radosny akwamaryn i porywisty „błękit pruski”. Widać teraz jak ubogą, w porównaniu z tym majolikowym półmiskiem, jest paleta każdego malarza morskich pejzaży!

Jeśli wykazałeś się brakiem rozważli i zostawiłeś w domu przyciemnione okulary, to w ramach kary z każdą chwilą przyżykaj oczy!

Łódki układają się na tym półmisku niczym ciemne zdobienia, wzdurzając geometrią i wszelkimi kanonami linii, gdyż wiedzą, że tworzą swój indywidualny nowy styl, każdego dnia odmienny.

Opuszczając nowe miasto, rozpościera się przed nami ogromna sceneria, przygotowana na przedstawienie przez poetyckiego dekoratora.

Scena wznosi się na rybiej głowie, błędąc ku górze. Oddziela nas od niej mur przeznaczony dla orkiestry.

Zatrzymujemy się oczarowani i, by godnie cieszyć się tym zjawiskiem, wybieramy dość oryginalną łożę, fontannę Helleńską, a triumwirat trzech gościnnych właścioleek – Dirke, Salmakis i Byblis – ostrzegł biletera, by nas nie kasował.

Trzy antyczne heroiny przeszły tutaj swoją mitologiczną metamorfozę. Ale jeszcze większą metamorfozę zarezerwowała im nie mitologia, lecz sam czas, który tak bardzo je naznaczył. Są one żywym dowodem ulotności piękna i młodości. A kiedy kierujemy w ich stronę nasz aparat fotograficzny, jawią się smutne i zdziwione.

Uznanie ich piękna i pragnienie jego uwiecznienia pojawiły się zbyt późno. Kiedy były wciąż młodymi i sprężystymi płaskorzeźbami, aparat fotograficzny nie został jeszcze wynaleziony. Szczęśliwy los uśmiecha się do zabytków, jak i do niektórych ludzi, zbyt późno. Dla Dirke, Salamakis i Byblis, tak samo jak dla współczesnej Mimi z „Cyganerii”, wciąż się spóźnia. Tak właśnie twierdzi poezja sentymentalna, ale archeologia jest odmiennego zdania. Pomyślność zabytków szacuje inną miarą. Dirke, Salamakis i Byblis należą do wielkiej rodziny fontann, za czasów swojej młodości były tylko jedną z wielu, czymś pospolitym. A dziś, kiedy dynastia wygasła, stały się sławne i przypadły im honory reprezentowania rodu. Przeżyły młodość zwyczajną, pospolitą, dopiero starość przyniosła im godność, podziw i szacunek.

To są właśnie dwie ścieżki, na które rozchodzą się poezja sentymentalna i zdroworoządkowe kryterium archeologiczne. Poezja wychwala młodość jako najwyższy dar bogów, który w życiu otrzymuje się tylko raz. (W całej historii ludzkości jedynie Hezjod był godny, by dostąpić jej dwukrotnie). Poezja szanuje młodość, również Fuasta, który oddał za nią własną duszę. Archeologia poszukuje starości, czasami do tego stopnia, że jest w stanie wystąpić przeciwko prawu, fałszując akty urodzenia i chrztu oraz rodzinne dokumenty. Przypisanie kamiennej heroinie kilka setek lat jest dla archeologii dowcipem. Gdyby wszystkie te kobiety, z kamienia czy marmuru, miały siłę do walki o własne prawa i akty urodzenia, to doprowadziłoby to do tak poważnego procesu, jakiego nasza cywilizacja jeszcze nigdy wcześniej nie doświadczyła. Osądzono by najgenialniejszą fałszerkę wszech czasów – archeologię!

„Rolleiflex” zaprosił do swojej ciemni trzy staruszki; nie wiadomo co z nimi zrobi. Przywróci ich piękno młodości niczym poeta, czy odda hołd ich starości niczym archeolog? Każdy aparat fotograficzny, nawet ten najmniejszy, posiada swoją kapryśną duszę i bardzo często nie mamy pojęcia, jak ta dusza się zachowa.

Do naszej łoży dociera muzyka łagodna i rytmiczna. W miejscu przeznaczonym dla orkiestry wiatr chwycił za pałeczkę, a my słuchamy, jak genialnym jest dyrygentem. Musi być niezwykle trudnym zadaniem prowadzenie tak kapryśnych muzyków, jakimi są fale morskie. Nieprzerwanie zmienne. Dziś będziesz słuchał najstarszych

skrzypiec świata: harfy eolskiej i kitary. Ponieważ poprzednio przez te wybrzeża przeszli ludzie, dla których najdoskonalszymi nutami były te spisane przez morze. Czy miałeś kiedyś okazję słuchać jakiejś partytury, która, chociażby w najmniejszym stopniu, mogłaby równać się śpiewom wiatru i fal?

W akompaniamencie tejże muzyki podziwiamy scenę starego Gallipoli. To właśnie tutaj rozegrały się najróżniejsze wydarzenia, ale dziś, jako ludzie żyjący jedynie teraźniejszością, okazujemy nasz oziębły brak zainteresowania historią i nie mamy nawet ochoty wtrącać się do dysputy, czy tak wybitny malarz jak Ribera urodził się w Gallipoli, na zamku, czy w Hiszpanii i czy jego matką była Dorotea Indelli, dama z Gallipoli, czy Vittoria Bricchi. Pozwólmy notariuszom pędzącym za zarobkiem zbadać sprawę świadectwa urodzenia Ribery; dziś jesteśmy tylko zwykłymi poetami, którzy nie chcą zarobić nawet jednego obola. Staliśmy się sprzymierzeńcami radosnego wiatru i współnikami jego orkiestry. Czujny kogut – według łacińskich wierzeń symbol zwycięstwa – bohater herbu Gallipoli, już wie, że czas powrócić do miasta.

Przebiegły reżyser rzucił dwunastołukowy most między widownią, nowym miastem, a sceną, starą częścią Gallipoli, nad głębiną zajmowaną przez wodną orkiestrę. Z ciekawością spoglądamy w dół; orkiestrę spowija niebieski aksamit.

Następnie reżyser zabawił się w wymyślanie tamigłówek; stworzył płataninę ulic, pnących się do góry i schodzących w dół, obwiązując je wstążką ciemnokremowych kamieni. Z lewej strony zamek, andegaweńskiej rasy, wyskoczył z morskich głębin niczym nurek, a w swoim sercu i pamięci skrywa wiele historycznych tajemnic. Domy o oślepiającej bieli, wznoszące się wysoko i gęsto, by uniemożliwić dostęp wiatru, wzorowały się na tych z afrykańskich wybrzeży. Tu kończy się europejski ląd! Kiedy przepłyniesz morze wpław – a czym jest dla takiego pływaka jak ty te, bagatela, tysiąc kilometrów? – przywitają cię już wybrzeża Czarnego Łądu. I to właśnie dlatego tutaj znajduje się granica, na której mogły się przeniknąć dwie architektury, dwa style budownictwa. Również tutaj, jak w innych częściach południowych Włoch, znajdziesz wąskie uliczki, ale całość ma już inny wygląd, bardziej zamknięty, bardziej tajemniczy. A życie toczy się tutaj częściej w domach niż na zewnątrz. Przypomina dobrze znany klimat orientalny, który dla nas ma zawsze egzotyczny posmak.

Niektórzy ludzie rodzą się pod szczęśliwą gwiazdą, przez całe życie świecą nad ich głowami. Inni umierają, nie doświadczając jej światła. Tak samo jest w przypadku zabytków.

Z pewnością gallipolijska katedra zasługuje na gwiazdę w przewodnikach. Ale żaden z historyków sztuki nigdy jej nie zapalił. Zachowała się w całości, w jednym stylu. To barok, ale mniej kokieterijny od tego w Lecce, bardziej poważny i ekspresyjny.

Strojny fronton, logicznie skomponowany, z żalem domaga się większej przestrzeni i głębszego oddechu. Ściśnięty w wąskiej uliczce nie ma szans na podziw.

Wchodzimy i od razu czeka na nas niespodzianka. Czyżbyśmy zabłądzili? Czy naprawdę jesteśmy w kościele? A może przez pomyłkę weszliśmy do ogromnej sali jakiejś pinakoteki? Wrażenie jest tak niesamowite, że w pierwszej chwili nie zwracamy uwagi na architekturę. To przemawiają obrazy. I chociaż w całych południowych Włoszech – a szczególnie w Apulii, która ukierunkowała się na ornamentalną architekturę i rzeźbę – w większości przypadków obrazy w kościołach są rzadkością, to gallipolijska katedra jest znakomitą wyjątkiem od tej reguły. Dwaj synowie tego miasta, Coppola i Malinconico, o których historia sztuki milczy, poświęcili swój geniusz chwale domu Bożego. Zaczerpnęli wszystko ze szkoły neapolitańskiej: sugestywność koloru, tak wielkie bogactwo ruchów, że niemal teatralne, oraz głębię uczuć. Obrazy te są pełne poezji.

Monolitowe kolumny, proporcje i sklepienie naw, elegancki fryz górny, oryginalny układ ściśle między sobą połączonych ołtarzy, wstęga z gęstym dekoracyjnym wzorem biegnąca po sklepieniach naw, gdzie się przeplata – wszystko to tworzy niezwykle żywą i interesującą architektoniczną spójność.

Z katedry udajemy się na promenadę biegnącą wokół wysepki, czyli rybiej głowy. Usytuowana na starych murach obronnych, z widokiem rozpościerającym się na Morze Jońskie, muskana powiewami ciepłego wiatru, tworzy kolistą taras, na który można dostać się z każdej uliczki i każdego zaułka. Jedno wielkie poetyckie przedstawienie i cała seria sugestywnych widoków. Chyba pożegnaliśmy się już ze współczesną Europą zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Dziś gallipolijski kogut wciąż pieje językiem minionych wieków, a promenada, zamknięta z jednej strony domami w niemalże orientalnym stylu, tylko wzmaga owo wrażenie.

Jeden z zakątków tego tarasu zajmuje kościół św. Franciszka, w którym, pomimo przeróbek, wciąż rozpoznajemy czysto trzynastowieczne linie. Ale oczywiście tutaj nie tylko architektura interesuje tych odwiedzających najbardziej typowe dla Gallipoli miejsca. W jego wnętrzu znajduje się coś, co naprawdę można nazwać arcydziełem sztuki ludowej. Grupa drewnianych rzeźb, dłuta Vespesiana Genovina młodszego, przedstawia Chrystusa między dwoma łotrami. Imponujący realizm Chrystusa przyćmiewa jednak wizerunek Gestasa, złego łotra. Artysta posłużył się niezwykle oryginalnym środkiem – użył prawdziwego uzębienia, otrzymując w ten sposób ekspresyjny i okrutny ironiczny uśmiech. Stosując tak nietypowy dla artystów materiał, uprzedził najdziwniejsze twory współczesnych surrealistów. Z kolei w innej kaplicy piękno wizerunku św. Franciszka skłoniło krytyków do przypisania go Tycjanowi.

Idąc dalej w głąb, na plaży o tej samej nazwie, znajduje się kościół św. Marii od Czystości. Jest on jednym z tych typowych gallipolijskich kościołów-muzeów. Obrazy wielkiego Luki zebrano tutaj razem z obrazami dwóch salentyńczyków: Coppoli i Riccia. Tak więc w tym kościele poświęconym Czystości znajdujemy kolejną bogatą kolekcję malarstwa, uzupełniającą tę z katedry-pinakoteki.

Gallipoli jest radosnym miasteczkiem. A wiadomo przecież, że nigdzie indziej nie grzeszy się tak dobrze, jak w miejscach radosnych. Mamy już na naszym sumieniu pokaźną i skandaliczną listę grzechów. Obraziliśmy śmiertelnie archeologię i nie wiemy, jakie może pociągnąć to za sobą konsekwencje; zakpiliśmy z historii, okazując jej nasz oziębły brak zainteresowania; pokłóciliśmy się z notariuszami, wytykając im chęć zbytniego zarobku; zakwestionowaliśmy geniusz muzycznych partytur z całego świata; żaden malarz morskich pejzaży nie wybaczy nam tej „ubogiej palety”; duch Ribery ze smutkiem odwrócił się do nas plecami; mieszkańcom Gallipoli będzie przykro, gdyż fałszywie nakreśliliśmy mapę ich miasta, wykorzystując kulinarną metaforykę, porównaliśmy je do ryby na majolikowym półmisku; kogut będzie wściekły, gdyż odkryliśmy jego brak zdolności do współczesnych języków; zraziliśmy do siebie historyków sztuki, zarzucając im, że nie zapalili „gwiazdy” nad katedrą. Ale odchodzimy szczęśliwi jak ci, którzy w zaledwie jednym miejscu i w zaledwie jeden dzień zdołali popełnić tyle grzechów. Być może udało nam się nie obrazić morza i wiatru; a w życiu zawsze dobrze jest mieć takich sprzymierzeńców, gdyż wiatr, jeśli będzie chciał zawiać pomyślnie, może przenieść nas aż do nieba, a morze potrafi doprowadzić na sam koniec świata.

Przełożyła
Ewa Litwin